

# Kronika tygodniowa.

Według zapowiedzi, dziś dopiero złożyć mogę sprawozdanie, jak spędziłem święta. Jak zaś, łatwo się każdy domyśli i dośpiewa sobie w duszy: „Pod psę!”... I nie pomyli się bynajmniej, gdyż tak było w samej rzeczy.

Wielka Niedziela, pierwszy dzień świąt, przypomina raczej Wielki Piątek, taka cisza, głucha pustka i do tego post, wprawdzie nie kościelny ani urzędowy, ale z dobrej woli, raczej z konieczności. Do wzbudzenia tem smutniejszego nastroju przyczyniła się nadto fatalna pogoda. Na przemian deszcz ze śniegiem, sam deszcz, potem znow śnieg, a do tego wiatr, o którym u nas dawniej się mówiło, „iż się dyabeł żeni”. Jednym słowem, aura taka, że żal człowiekowi psa za drzwi wypędzić. Siedziało się też w domu i rozmyślało o dawnych, lepszych czasach, chwalać domysłność kronikarza, który właśnie taką, a nie inną pogodę przepowiedział. Kłął też każdy na meteorologów i astronomów, im winę przypisując, aż musiała się ująć za nimi *Nowa Reforma* i ogłosić artykuł, w którym autor dowodzi, iż nikt gniewać się nie powinien, gdyż śnieg w kwietniu nie jest niczem dziwnym, zwłaszcza, że już ojcowie nasi mawiali: „Kwiecień — plecień, bo przepłata trochę zimy, trochę lata...” Popołudniu wypogodziło się nieco, śnieg zniknął sam, bez łaskawej pomocy Zakładu czyszczenia miasta, ludzie zaczęli wystawiać nosy na świeże powietrze, ale je wnet chowali napowrót. Nie opłacało się zresztą wychodzić, gdyż błoto jeszcze nie wyschło, a lokale, gdzie możnaby wypocząć, pozamykane z powodu przypadających równocześnie świąt katolickich i żydowskich. Jeśli przypadkowo zapukałeś do drzwi znajomych sobie ludzi, albo nikt nie otworzył, co jest zwykle najpewniejszym znakiem, iż nikogo w domu niema, albo wyszła służąca i oznajmiła:

— Państwo kazali powiedzieć, że ich w domu niema!... Wyszli z wizytą do rodziny i nie wiadomo kiedy wrócą...

W teatrach i kinach, tak tych, w których się grzeecznie z publicznością obchodzą, jak i owych, gdzie się ją za drzwi wypycha, pełno było zato ciekawych, ale też i na tem koniec.

Przemysłowcy i kapcy, którzy w świątecznym czasie najlepsze dawniej robili interesy, więc przedewszystkiem masarze, winiarze, cukiernicy, wódczarze i t. p. narzekają gorzko na ogólny zastój. Zwłaszcza masarzom zostało dużo szynek i innych wędlin, na które tego roku z powodu cen wygórowanych nie było absolutnie popytu. Jadło się, co było pod ręką, a jeśli nie było nic, to się łapę lizało, pragnienie można było ugasić wodą wodociągową, gdyż wyjątkowo w tym czasie nie pękła żadna rura, ani cieńsza, ani grubsza.

Poniedziałek, tak zwany „oblewany”, miał to do siebie, iż akurat z nieba nie lało, wobec czego sporo osób wybrało się na Zwierzyniec „na Emaus”. Ale i tu nie spotkałeś się nigdzie z staropolską cnotą gościnności. Jeżeli kogo odwiedził, przyjął cię zimno, narzekając tylko gorąco na fatalne czasy, co miało znaczyć tyle, iż niczem cię poczęstować nie może!... Pod wpływem wojny i jej następstw zmienili się ludziska nie do poznania. Nawet na trąbki, dzwonki i piszczałki nie było tylu amatorów, co dawniej. Płeć piękna zjawiała się w daleko mniejszej liczbie, niż po inne lata, nie miał jej bowiem kto towarzyszyć, ani kto bawić, skoro większa część młodzieży w polu. Zresztą i pogoda nie była bardzo obiecująca, każdy patrzył co chwila na niebo, zastanawiając się, czy nań stamtąd co „nie kapnie”.

We wtorek rozpoczyna się już zwykły tryb życia, kto ma przecież czas, ochotę i znajomych na Podgórze, spiesz, „na Rękawkę”. Tego roku frekwencya była słaba, gdyż każdy, kto się w mieście zawiódł w niedzielę, na Zwierzyniec w poniedziałek, wołał nie ryzykować we wtorek na Podgórze, które ściśle już z nami połączone, tak samo, jak stary Kraków, myśli i postępuje. Powoli modernizujemy się i zatracamy tę dawną „patynę”, z której jeszcze do niedawna sływał Kraków szeroko i daleko. Gdyby ktoś z naszych przodków wstał z grobu i chciał się przekonać, jak następcy szanują starodawne tradycje, z pewnością jeszcze prędzej powróciłby na cmentarz i poprosił, by go nie budzono, chyba dopiero na Sąd ostateczny, czyli ów ostatni jenerałny musterunek żywych i umarłych.

Kronikarz, o ile to jego dotyczy, spędził święta mniej więcej tak samo, jak i reszta rozszerzonych Krakowian, to jest o głodzie i chłodzie i nie mając czem ugasić pragnienia, a bojąc się użyć w tym celu wody, by jej dla innych nie brakło. Nie narzeka przecież zbyt, znalazły się bowiem dwie szlachetne dusze — jedna w niedzielę, druga w poniedziałek — które go zaprosiły na święcone jajko i szyneczkę, za co im na

tem miejscu składa z serca płynące podziękowanie, polecając się na przyszłość i żałując, iż nazwisk ich nie może (by nie obrazić ich skromności) podać do wiadomości ogółu i postawić innym, jako wzór cnót obywatelskich. Był jeszcze i trzeci, ale ten się wygodnie urządził, zaprosił bowiem kronikarza do siebie na piwo, a potem o zaproszeniu zapomniał i sam je wypił. Oby mu tylko wyszło na zdrowie!

Wycieczek nie robiło się tego roku ani na „Emaus”, ani na „Rękawkę”, tu i tam bowiem należałoby jechać szerokotorowym tramwajem, co jest obecnie połączone z wielkim niebezpieczeństwem, zwłaszcza od czasu, gdy miejsce mężczyzn zajęły przy aparacie panie motorowe. Niewiasty owe, tak sobie lekceważą życie i zdrowie tych, którzy jadą tramwajami i tych, którzy nimi nie jadą, lecz tylko przechodzą ulicą, że doprawdy dziwić się trzeba, iż tak mało dotąd notują kroniki policyjne wypadków przejechania. Bo i cóż to jest na Wielki Kraków i do tego przy damskiej obsłudze jeden lub dwa tygodniowo?... Nic!

Kilka tygodni temu miałem ochotę zająć się tą sprawą, brak jednak miejsca stanął mi wówczas na przeszkodzie, dziś wspominam o tem ze względu na dwa wypadki przejechania w ulicy Sławkowskiej i zabicia chłopca na Półwsiu Zwierzynieckim. Kto ponosi winę, w to nie wchodzę, przytoczę tylko opowiadania dwu mych znajomych, którzy częściej jeżdżą tramwajami. Że obaj powiedzieli prawdę, nie wątpię, obaj są bowiem obywatelami „pierwszej klasy”, jak się to u nas mówi, jeden ma nawet kamienicę, a drugi mógłby także mieć, gdyby tylko chciał.

Udzielam im głosu według porządku chronologicznego.

Pierwszy pan, nazwijmy go X., chorował swojego czasu na zapalenie stawów, nie mógł więc skakać, nieczem młody wróbel. Jadąc tramwajem w stronę mieszkania, prosił panią konduktorkę, by zechciała zatrzymać wóz na przystanku, tak zwanym „w razie potrzeby”, skąd mu było najbliżej do domu. Ale pani konduktorka, będąc zajęta czem innym, zapomniała o prośbie, gdy zaś pan X. na końcowej stacji robił jej z tego powodu wyrzuty, usłyszał z ust pani motorowej w niezbyt uprzejmym tonie wypowiedziane słowa:

— Widzisz! Pewnie chciałby dziad zająć twoje miejsce, bo nie ma co żreć!

Na takie *dictum acerbum*, czując się niem słusznie oburzonym, pan X. zwrócił uwagę uprzejmej niewieście, iż niczem nie zasłużył sobie na podobne traktowanie, zaznaczając, że zwróci się ze skargą do Dyrekcyi. W tym celu wgramolił się znowu na wóz, by się z powrotem dostać do miasta i najspokojniej stanął sobie na platformie poza panią motorową, która już tylko pod nosem dawała jeszcze folę swemu niezadowoloniu i zdenerwowaniu. Wóz ruszył, ona jeszcze mruczała, pan X. milczał, co ją wyprowadziło już całkowicie z umysłowej równowagi. Najpierw chciała swego rzekomego prześladowcę poczęstować korbą od aparatu, ale się uchylił, potem zatrzymała wóz i wezwwała posterunek policyjny, żądając aresztowania pasażera, który rzekomo „przeszkadza jej w należytem wypełnianiu swego obowiązku”... zastrzegam się, iż tylko tem, że stoi, milcząc, tuż poza nią. Policyant żądania nie spełnił, pan X. wniósł skargę do Dyrekcyi i uzyskał od niej satysfakcję, odtąd jednak rzadko używa tramwaju, częściej chodząc piechotą, by nie być narażonym na podobne przyjemności, jak owo zajście z zdenerwowaną motorową.

Pan Y. natomiast sam bezpośrednio nie miał sposobności wejścia w konflikt z żeńskim personelem tramwajowym, jadąc przecież kiedyś, nie mógł dłużej wytrzymać, widząc, że pani motorowa ma obok siebie z jednej strony jakąś przyjaciółkę i zabawia się z nią rozmową, z drugiej zaś strony garnek z kawą, z którego od czasu do czasu popija, nie troszcząc się wcale o to, co się przed nią dzieje na ulicy... A wóz pędził bez względu na skręty i ruch uliczny. Wstał więc, podszedł do pani motorowej i rzekł:

— Na miłość Boską! Skończ pani już raz tę rozmowę, bo jeszcze wszyscy pokręcimy sobie karki, a ja, przyznam się, nie mam do tego ochoty!

— A co panu do tego! — odparła gniewnie — Proszę mi się nie mieszać do urzędowania!... Zresztą, co ja mam z panem gadać!...

I rozpoczęła z przyjaciółką znowu ożywioną pogawędkę, obrzucając od czasu do czasu pana Y. jadawitym wzrokiem. Ale on nie uląkł się, dojechał do domu, a wysiadłszy, gorąco podziękował Bogu, że jeszcze cały i przysiągł sobie, że już więcej nie pojedzie tramwajem, chyba, że miejsce kobiet zajmą znowu mężczyźni.

Te dwa wyżej zacytowane wypadki, za których prawdziwość ręczę i ja i ci, którzy mi o tem opowiadali, tłumaczą w dosadny sposób, co jest przyczyną różnych nieszczęśliwych wypadków. Taka pani, mająca w swem ręku w chwili „swego urzędowania” zdrowie i życie kilkudziesięciu osób, właśnie wtedy myśli

o wszystkim innym, tylko nie o swej służbie i stąd te wypadki, które nieraz drogo kosztują Zarząd, mający jak najlepsze chęci, ale muszący na każdym kroku walczyć z brakiem męskich rąk do pracy i przyznający, że żeńska ręka nigdy męskiej nie zastąpi!... Zrobi niewiasta głupstwo i spotka się za to z naganą lub karą, leje łzy lub, co również często się zdarza, jeszcze się gniewa, twierdząc, że „dzieje się jej krzywda, a nie ma nikogo, kto by się ujął za słabą niewiastą!...” Twierdzą również, iż ogłoszenie: „Motorowemu rozmawiać nie wolno...” — odnosi się tylko do mężczyzny, nie zaś do kobiet.

Widuje się jeszcze motorowych rodzaju męskiego, ale przeważnie tylko na liniach wąskotorowych, ba, widziałem raz nawet żywego konduktora, którego sobie ludzie, odwykli już od tego widoku, palcem pokazywali. Gdy słyszę więc o nowym wypadku, spowodowanym nieostrozną jazdą, pytam, dlaczego obowiązków motorowych na liniach szerokotorowych, gdzie ruch jest daleko szybszy, nie powierza się osobnikom rodzaju męskiego, ale dowiaduję się zawsze, że wozy starego systemu tak są zdezelowane, iż kobieta nie dałaby sobie z nimi rady. Do tego potrzebny jest mężczyzna, natomiast kierowanie wozem na linii szerokotorowej nie przedstawia żadnych trudności, wobec czego funkcyje motorowych mogą pełnić i niewiasty.

Zarząd tramwajów winy w tym wypadku nie ponosi, winną jest jedynie wojna, która wszystko do góry nogami wywróciła i powoli stara się zamienić świat w „rzeczpospolitą babiną”, w której jedynie niewiasty będą mogły głos zabierać, a mężczyźni będą tylko cierpieli, jako złe konieczne. U nas na razie zagospodarowały się na dobre dopiero w tramwaju, ale też widzimy, jak on na tem wychodzi. Ale cóż robić! Lepiej, że bodaj tak jest, niż miałyby być ruch zupełnie zastanowiony...

Wiosna zresztą się zbliża (w kalendarzu już jest, zimno przecież ciągle), można więc chodźć piechotą. Formalności, z jakimi połączone jest uzyskanie pozwolenia na stały pobyt w Krakowie, podobno już ukończone, wjazdowi jej do miasta nie też nie stoi na przeszkodzie. Jedną tylko „*Nowa Reforma*” nie jest z niej zadowolona, jak to wnoszę z artykułu, zatytułowanego „Znowu wiosna”, gdy ja byłym raczej napisał: „Nareszcie wiosna”. Ale, czy to dogodzi każdemu?... Jeden woli grzebień, drugi co innego. To jest pewne, że przyleciały do nas już bociany (sam widziałem ostatni numer *Bociana* z dnia 15. kwietnia!). Z powrotu ich cieszą się najbardziej owe niewiasty, które dopomagają młodemu pokoleniu w chwili pierwszego oglądania światła dziennego i z tego czerpią swe dochody. Pojawiają się i muchy, z czego znów ja się nie cieszę, nie lubię bowiem, gdy figle wyprawiają na mej łysinie, są też i komary. Obserwowałem jedną sztukę, robiącą na oknie redakcyjnem tualetę, po zbudzeniu się ze snu zimowego. Wobec tego mój zimowy paltot w najbliższym już czasie powędruje do szafy, lub do Zakładu zastawniczego, co zależnem będzie od tego, jak się ułożą stosunki i jakie będą „konjunktury finansowe” w najbliższej przyszłości.

Oby jak najlepsze!... Tak życzę sobie, ale równocześnie nie wierzę w to, by się to pobożne życzenie mogło rychło spełnić, stoi bowiem w ścisłym związku z końcem wojny, a ten przedstawia się nam coraz to inaczej i odkładanym bywa na rozmaite czasy. Zwłaszcza teraz należy wątpić w rychły koniec po ogłoszeniu amerykańskiego programu wojennego, który powiada:

„Użycie okrętów we wspólnej akcji ze sprzymierzonymi, dostarczenie amunicji, zaliczka trzech miliardów dolarów dla sprzymierzeńców, których zaprowiantowanie ma być również zapewnionem, wywiezienie jednego miliona żołnierzy w pierwszym roku, drugiego w drugim”.

Zwłaszcza ten ostatni punkt bardzo mi się nie podoba! Z początku sądziliśmy, że wojna skończy się w pierwszym roku przed zimą, potem zgodziliśmy się na zapowiedź ś. p. lorda Kitchenera, że potrwa co najmniej trzy lata (a te już się kończą!...), teraz znów Ameryka rozkłada swe przygotowania na tak długi czas, jak gdyby nie wiedziała o przepowiedniach pani de Thèbes, że wszystko ma się skończyć jeszcze w tym roku i to przed jesienią.

Zdaje mi się, że trzeba powoli kończyć, zwłaszcza, że niniejsza kronika pojawi się już według czasu letniego, więc o godzinę wcześniej, niż poprzednia, drukarnia jest więc usprawiedliwioną, żądając wcześniej rękopisu.

(Skuteczną wodą do ust), która usuwa ból zębów i nieprzyjemną won ust, jest Feller's wonny fluid z esencji roślin z marką „Elza-fluid”. Ceny pokojowe: 12 flaszek tylko za 6 koron posyła franko aptekarz E. V. FELLER, Stabica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Także Feller's przeczyszczające pigułki rumbabarowe z marką „Elza-pigulki” są dobre. (vv)